

## PROLOG

Wyszedłem z lotniska z uśmiechem rozciągającym się na pomalowanych na różowo wargach. Ciągnęłam za sobą wielką żółtą walizkę.

Moi przyjaciele, znajdujący się po drugiej stronie ulicy, śmieli się z czegoś, nie przejmując się krzywymi spojrzeniami starszych pań. Przepychali się nawzajem i utrudniali pracę naburmuszonemu Arienowi, któremu przypadło pakowanie walizek do vana. Pożyczyliśmy go od wujka Caleba i trochę przerobiliśmy. Dziewczyny zadbały, żeby wyglądać jak samochód detektywów ze Scooby-Doo, a Arien i Caleb dopilnowali, abyśmy w trakcie drogi nie musieli uciekać, gdyby z maski zaczęło dymić, albo żebyśmy nie utknęli na stacji paliw, gdyby nie chciał odpalić. Wyszło całkiem dobrze, byłam zadowolona z efektu.

To miał być nasz ostatni wyjazd przed rozpoczęciem roku akademickiego w Greenwich. W trakcie studiów byliśmy zbyt zajęci własnymi sprawami, żeby pozwolić sobie na taki tygodniowy urlop. Ponieważ studiowaliśmy i pracowaliśmy jednocześnie, trudno było się zorganizować. Staraliśmy się jakoś z tym walczyć i spotykać się przynajmniej raz w miesiącu.

– Aria! – Melody zauważyła mnie jako pierwsza i od razu pędem rzuciła się w moim kierunku, żeby zaraz zamknąć mnie w mocnym uścisku.

– Melody – wykrztusiłam, gdy dziewczyna w dalszym ciągu zgniatała moje ciało. – Dusisz.

– Och, przepraszam – bąknęła, odsuwając się z przeproszącym uśmiechem.

– Obcięłaś włosy – zauważyłam, otwierając szerzej oczy. – Podoba mi się.

Melody na te słowa tylko przewróciła oczami. Zdecydowanie nienawidziła komplementów kierowanych w jej stronę, co zdarzało się naprawdę często, bo jej duże niebieskie oczy, jasna cera, policzki obsypane drobnymi piegami, mały, lekko zadarty nos, niewielkie usta i płomienistorude włosy sprawiały, że była uważana za jedną z najpiękniejszych dziewczyn na uniwersytecie.

– Przestań i chodź już, bo Arien znów zacznie marudzić. Chyba nie spał dzisiaj za dobrze, nie wkurzajmy go jeszcze bardziej. – Kiwnęła głową w kierunku chłopaka, a ja przypomniałam sobie, że przecież dopóki nie zobaczyłam całej paczki, sama nie byłam w najlepszym humorze.

– Mam złe przeczucia co do tego wyjazdu. Sprawdziałam pogodę i...

– Nie marudź, nic się nie stanie – przerwała mi i machnęła lekceważąco dłonią.

Stella, moja druga przyjaciółka, podeszła do mnie, a Melody wzięła moją walizkę, żeby załadować ją do samochodu. Arien oczywiście ją wyręczył, posyłając jej doskonale znane mi ciepłe spojrzenie, którym obdarowywał tylko ją, bo zawsze chronił Mel, jak tylko mógł.

– Jak w końcu nie powie jej, co czuje, to chyba sama to zrobię – prychnęła Stella, przeczesując palcami swoje włosy, które dzisiaj miały fioletowy kolor.

– Daj spokój, wiesz, jaki jest Arien, potrzebuje czasu – odpowiedziałam, próbując jakoś wybronić chłopaka. Ze względu na trudną przeszłość, o której rzadko mówił, był raczej cichy i ponury. Wiedziałam, że Mel była pierwszą dziewczyną, która się z nim zaprzyjaźniła i nie uważała go za dziwnego, co robiła większość osób, chociażby przez wzgląd na jego śnieżnobiałe włosy.

– Zawsze tak mówisz, a on dalej nic nie robi. – Przewróciła oczami. – Chodź, zajmiemy miejsca.

Zerknęłam jeszcze raz w stronę Melody i Ariena. Na twarzy dwudziestojednolatka irytację zastąpił ledwo powstrzymany uśmiech, gdy słuchał entuzjastycznie opowiadającej mu o czymś dziewczyny. Nie było tajemnicą, że Arien Lacrosse był szaleńczo zakochany w swojej najlepszej przyjaciółce. Tylko Melody Clyde zdawała się niczego nie zauważać.

– Aria! Pospiesz się, jeszcze będziesz miała czas na dumanie!

Wesoły krzyk Stelli skutecznie wybudził mnie z rozmyślań. Spojrzałam w bok i ze zdziwieniem zauważyłam, że każdy siedział już na swoim miejscu, a ja nadal stałam i wpatrywałam się w pustą przestrzeń przed sobą. Natychmiast ruszyłam żwawym krokiem do samochodu.

Wystawiłam język w stronę Caleba przewracającego oczami i szybko zajęłam miejsce obok dziewczyny z kolorowymi oczami. Dzisiaj prawe było fioletowe, a lewe prawie czarne. Stella kochała eksperymentować z wyglądem, odkąd pamiętałam, a na jej głowie widziałam już wszystkie kolory tęczy, niektóre nawet w różnych odcieniach.

– Jesteś pewna, że domek jest w dobrym stanie? Ostatni raz byliśmy tam, gdy miałyśmy po dwanaście lat. – Mimo dziwnej obawy kiełkującej gdzieś w środku uśmiechnęłam się nostalgicznie. Uwielbiałam wspominać tamtą wycieczkę.

– Moi rodzice jeżdżą tam co roku, więc musi być w dobrym stanie. Wyluzuj, jesteś dzisiaj strasznie spięta, chcesz trochę melisy? Co się dzieje?

Wszyscy wydawali się tacy zadowoleni i wyluzowani, a ja jakoś nie potrafiłam podzielić ich emocji.

– Nic takiego. Po prostu mam złe przeczucia, coś mi mówi, że nie powinniśmy jechać.

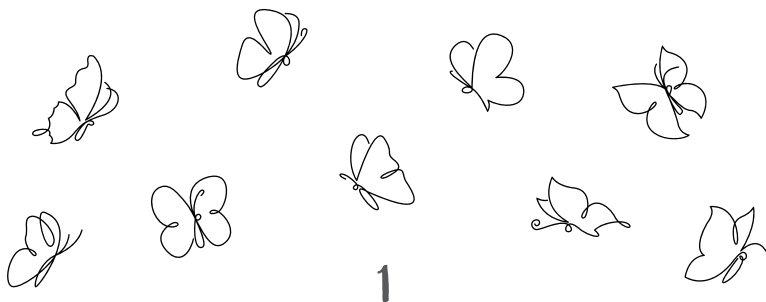
– I mówisz nam to teraz, gdy już jesteśmy w drodze? – Arien prychnął pod nosem, a Melody uderzyła go z otwartej dłoni w tył głowy.

– Mówiłam już o tym wcześniej, panie wiecznie niezadowolony, ale nikt nie chciał mnie słuchać.

– Bo to po prostu zwykle przecucia bez żadnego większego sensu. Nic się nie stanie, będziemy się dobrze bawić, a później wrócimy do domu i zaczniemy kolejny ciężki rok w Greenwich. – Caleb posłał mi pokrzepiający uśmiech. – Daj spokój, Aria.

Westchnęłam zrezygnowana i w końcu uznałam, że faktycznie nic złego nie może się stać. Nie pierwszy raz wyjeżdżaliśmy gdzieś razem i nigdy nic się nam nie przytrafiło – nie licząc pękniętej opony i sarny na drodze, ale to było dawno temu.

Mel podkreśliła głośność radia, a ja cicho westchnęłam, zapominając o zmartwieniach przy kolejnych śpiewanych przez nas wersach *Riptide* Vance Joy.



# NOWA RZECZYWISTOŚĆ

## *Trzy lata później*

Czasami nie wszystko idzie po naszej myśli. Czasami cały świat wali nam się na głowę i trudno jest się pozbierać. Mój świat zawalił się trzy lata temu, a mi jakoś wyjątkowo ciężko było wydostać się spod jego gruzów.

Wpatrzona w kartki nie zauważyłam mojej mamy, która zajęła miejsce po mojej prawej. Przeniosłam na nią wzrok, dopiero gdy cicho odchrząknęła. Lekko się uśmiechnęłam. Starłam się udawać, że wszystko jest dobrze, ale przecież to bez sensu, skoro co noc słyszała moje wrzaski i płacz.

Przebywanie w tamtym pokoju było męczące, próbowałam sobie z tym wszystkim jakoś poradzić. Zrobiłam przemeblowanie, a nasze wspólne zdjęcia i inne pamiątki schowałam do kartonu i wyniosłam na strych. Jednak to nie pomogło. Koszmary wracały każdej nocy, a w głowie nadal przemykały mi nasze wspólne wspomnienia. To tutaj spędziliśmy najwięcej czasu, gdy jeszcze chodziliśmy do liceum. Pierwszy raz próbowaliśmy papierosów, trawki czy alkoholu. Moich rodziców wiecznie nie było w domu, więc czasem opuszczaliśmy lekcje, żeby spędzić ze sobą więcej czasu.

– Co czytasz, skarbie? – spytała, ostrożnie przeczesując moje splątane kosmyki.

Nie podobał jej się mój nowy styl, rozczochrane włosy, brak makijażu ani zapadnięte policzki. Wiedziałam, że byłam dla

rodziców ciężarem, ale nie potrafiłam przemóc się i czegoś z tym zrobić. Czekałam tylko, aż każą mi się wyprowadzić, a moim jedynym kompanem do rozmów będzie cisza.

Zamknęłam książkę, w której treść wpatrywałam się od godziny, nie przeczytawszy ani jednego słowa. Spojrzałam na okładkę, nie wyróżniała się jednak niczym ciekawym. Zwyczajna biała weranda i zielone tereny, które nijak nie zachwycaly.

– Pamiętnik. – Odchrząknęłam, gdy mój głos się załamał. – Wybierasz się gdzieś? Ładnie wyglądasz.

Jeszcze raz prześledziłam wzrokiem jej ciemnobrązowe włosy upięte w elegancki kok, makijaż oka podkreślający niebieskie tęczaówki – dokładnie takie same jak moje – i usta zwieńczone czerwoną szminką. Jej ciało natomiast opinała długa i błyszcząca suknia.

– Idziemy z ojcem na bankiet, ale najpierw chciałam z tobą porozmawiać. – Zaczęłam nabierać podejrzliwości, gdy spuściła wzrok i nerwowo wygładziła materiał sukni. – Kochanie, wiem, jak ci tutaj ciężko, nie jestem w stanie na to patrzeć. Pomyślałam... razem z ojcem pomyśleliśmy, że przyda ci się zmiana otoczenia...

Przełknęłam ślinę.

– Nie wyślecie mnie do żadnego zamkniętego zakładu, prawda? – Zaczęły nawiedzać mnie same najczarniejsze scenariusze.

– Oczywiście, że nie! – Mama od razu pokręciła głową. – Dzwoniłam do babci.

– Babci Rosalie? – spytałam z lekką rezerwą.

Babcia od strony taty była dziwna i już od najmłodszych lat za nią nie przepadałam. Ona także nigdy nie pałała do mnie jakimiś wyjątkowo ciepłymi uczuciami. Przy stole pełnym ludzi potrafiła idealnie udawać kochającą, ale za zamkniętymi drzwiami zmieniała się w potwora.

– Nie, do babci Ronnie. Zgodziła się, żebyś przyjechała, robi teraz remont, przyda jej się pomoc.

Zamarłam, słysząc to imię. Nie widziałam babci od ośmiu lat, utrzymywałyśmy kontakt, który ograniczał się tylko do życzeń na wszelakie okazje. Pytała wtedy, co u mnie słyhać, ja pytałam, co u niej, i tyle. A teraz miałam jechać do niej i spędzić z nią kilka miesięcy? Czy ona w ogóle chciała mnie widzieć?

– Ale... – zaczęłam, jednak matka od razu mi przerwała.

– Zario, bez dyskusji. – Pokręciła głowę z zaciśniętymi w cienką linię ustami i wstała, wyglądając materiał sukni. – Mój asystent prześle ci informacje dotyczące transportu.

– Mamo, proszę. Wolę zostać tutaj. – Również wstałam, a ona odgarnęła mi kosmyki z twarzy.

– Kochanie, zmiana miejsca dobrze ci zrobi. Spróbujmy, jeśli nic się nie poprawi, to wrócisz do domu, a ja już nigdy nie zaproponuję ci nic podobnego, w porządku?

Skinęłam głowę z niechęcią, a ona się rozpromieniła. Wydawało mi się, że to nie była propozycja, po prostu przymus i nawet gdybym zaprotestowała, to i tak trafiłabym do Bloomfield.



Autobus kilkanaście minut temu wjechał na wyboistą drogę, co utrudniało mi czytanie, więc przeniosłam uwagę na wyścig kropel. Jeszcze wcześniej obserwowałam tęczę, ale ta powoli zniknęła.

– Panienska przejazdem? – Starszy pan z okrągłymi szklami uśmiechnął się do mnie, częstując mnie ciasteczkami. Odmówiłam ruchem dłoni i z jak najmniej sztucznym uśmiechem.

– Przyjechałam na trochę, mam pomóc babci z remontem – wyjaśniłam, nerwowo skubiąc nitkę od bluzy. Ostatnio odzwyczaiałam się od kontaktu z obcymi osobami i czułam dziwny dyskomfort, który kiedyś był czymś nie do pomyślenia, bo uwielbiałam rozmawiać z ludźmi, a praca z nimi przynosiła mi samą przyjemność.

Dusza towarzystwa, wiecznie uśmiechnięta i głośna dziewczyna zmieniała się w kłębek nerwów, nocnego marka i wielbiicielkę ciemnych ubrań. Wyjazd do rodzinnego miasta miał mi pomóc dojść do siebie, odzyskać pierwiastek, który straciłam tamtego dnia.

– Och, skarbenku, gdybyś miała jakieś problemy, to śmiało kontaktuj się z Jace’em. To najlepszy fachowiec w całym Bloomfield. – Staruszek posłał mi kolejny uśmiech, zajądając się ciasteczkami.

Przez stres od rana nie byłam w stanie nic przełknąć. Nie widziałam się z babcią tak długo i nagle do niej przyjeżdżam, wpraszam się do jej domu, jem jej jedzenie i nic nie daję w zamian. Obawiałam się, że wcale nie zostaną miło przyjęta.

Po wyjściu z autobusu stwierdziłam, że gdzie jak gdzie, ale tu życie nie toczy się wcale tak szybko. Na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło; ten sam rynek z ławkami, stara fontanna na środku i kolorowe domy, które stały tu od lat. Rzeński zapach lata drażnił moje nozdrza, gdy rozglądałam się po kolejnych budynkach. Sklepik pani Lumen nadal dobrze się trzymał, chociaż niebieska farba już wyblakła i odpryskiwała w niektórych miejscach. Kwaciarnia państwa Prescott zmieniła szyld, ale prezentowała się tak samo dobrze jak wtedy, gdy byłam małą dziewczynką. Poza tym znajdowały się tu jeszcze drogeria, sklep spożywczy, niewielki butik i... sklep budowlany, którym byłam chyba najbardziej zdziwiona. Wcześniej mieściła się tam chyba kawiarnia i wydawało mi się, że funkcjonowała całkiem dobrze.

Duży zegar nad starą, zamkniętą biblioteką właśnie wybił dwunastą w południe. Warkot silnika wyrwał mnie z zamyślenia, gwałtownie odwróciłam głowę w bok i otworzyłam szeroko oczy, gdy zobaczyłam odjeżdżający autobus.

Cholera jasna, moja walizka!

– Hej, proszę się zatrzymać! – krzyknęłam, machając ręką za pojazdem, nawet rzuciłam się za nim biegiem, ale miałam tak słabą kondycję, że poddałam się po niewielkim dystansie,



okropnie dysząc. – Nienienienie! – Wplątałam palce we włosy i zacisnęłam oczy, licząc do dziesięciu. Byłam tutaj niespełna pięć minut, a już wszystko szło nie tak, jak powinno.

W końcu mój oddech się uspokoił, a ja otworzyłam oczy, kilka razy mrugając. Zacisnęłam dłoń na pasku od torby podręcznej. Ze skrzywioną miną wpatrywałam się w zakręt, za którym chwilę temu zniknął autobus. Wszystkie moje ubrania, bielizna i kosmetyki zostały w walizce. Tak to już bywa, gdy ma się głowę w chmurach częściej niż rzadziej. Miałam nadzieję, że babcia będzie wiedziała, jak skontaktować się z kierowcą, i szybko odzyskam swoje rzeczy.

Rozejrzałam się ostatni raz z nietęgą miną i pod wpływem impulsu przeszłam przez ulicę, zmierzając prosto do kwiaciarni. Stwierdziłam, że przed spotkaniem z babcią dobrze będzie kupić bukiet jej ulubionych kwiatów.

Nad głową rozbrzmiał mi dzwoneczek, gdy tylko popchnęłam drzwi. Po wejściu powitał mnie ten dobrze mi znany lekko duszący zapach. Wnętrze musiało przejść remont kilka lat temu, bo wyglądało zupełnie inaczej, niż zapamiętałam. Jedyne, co się nie zmieniło, to kwiaty, niezmiennie wypełniające każdy skrawek pomieszczenia.

Przy ladzie zauważyłam kobietę, która bacznie mi się przyglądała. Wydawało mi się, że skądś ją znam, ale nie potrafiłam sobie przypomnieć skąd. Może kiedyś chodziliśmy razem do szkoły? A może w ogóle nie jest stąd?

– Dzień dobry – zaczęłam niepewnie i podeszłam do lady. – Chciałabym kupić bukiet białych tulipanów.

– Dzień dobry, już się robi. Proszę chwilę poczekać. – Zaskłutowała mi i z szerokim uśmiechem zniknęła gdzieś pomiędzy kwiatami. – Wybiorę najładniejsze! – krzyknęła gdzieś zza kwiatów, a następnie kichnęła, przewracając coś.

Powiedziałam głośno „na zdrowie” i podeszłam do słoneczników, które stały obok lady. Uwielbiałam te kwiaty. Nawet teraz, po tym wszystkim, ich żywy kolor nie zniechęcał mnie,

a wręcz przeciwnie – zachwycał i budził pozytywne emocje, których obecnie było tak niewiele w moim życiu.

Miłość do słoneczników narodziła się we mnie właśnie tutaj, w Bloomfield. Mój dziadek na każdą nadarzącą się okazję kupował kwiaty. Babci białe tulipany, mamie czerwone róże, a mi właśnie słoneczniki. Zawsze mówił, że jestem jak one: pełna energii i z uśmiechem tak szerokim i jasnym, że mógł przyćmić nawet słońce.

Sprzedawczyni wróciła do mnie po krótkiej chwili, w dłoniach trzymała prześliczny bukiet białych kwiatów owiniętych w szary papier, przewiązany białą wstążką. Uśmiechnęłam się lekko na ten widok. Faktycznie wybrała najładniejsze.

– Proszę bardzo, kochana. – Uśmiechnęła się do mnie szeroko, a w jej policzkach uwydatniły się dołeczki.

– Dziękuję, są przepiękne. Ile płacę? – Odebrałam od niej kwiaty i wyjęłam portfel z torebki.

*Dobrze, że on nie został w walizce.*

– Pięć dolarów. – Nie przestając się uśmiechać, odebrała pieniądze.

Przypominała mi trochę Melody. Byłam pewna, że dogadałyby się, gdyby Mel mogła tutaj dzisiaj być. Nie tylko były podobne z charakteru, ale i z wyglądu. Jej płomienistorude włosy i piegi rozsypane po całej twarzy sprawiały, że wyglądała niemal jak jej lustrzane odbicie. Gdyby tylko miała ostrzejsze rysy twarzy i niebieskie oczy, zapewne stwierdziłabym, że naprawdę zwariowałam i zaczynam widzieć duchy.

– Mam nadzieję, że będą się dobrze trzymać. Pamiętaj o codziennym zmienianiu wody w wazonie, co trzeci dzień możesz też podcinać łodygi pod kątem czterdziestu pięciu stopni i koniecznie pod wodą, żeby pęcherzyki powietrza nie dostały się do środka. Odrywaj także liście zanurzone w wodzie, jeśli tego nie zrobisz, zaczną gnić. – Mrugnęłam powoli, gdy skończyła mówić, na co ona zachichotała, a jej policzki pokrył szkarłat. – Przepraszam, czasami gadam za dużo.

Machnęła niedbale dłonią i spuściła głowę, żeby szybko zapisać coś na kartce, aż w końcu wyprostowała się i z lekkim uśmiechem podała mi świstek.

– Najpotrzebniejsze fakty, żeby kwiatki przetrwały dłużej w wazonie – oznajmiła, gdy próbowałam rozczytać jej pochyłe pismo.

– Dziękuję, ale... – odchrząknęłam, gdy mój głos zaczął słabnąć od dłuższej przerwy w mówieniu – mogłam sprawdzić to w internecie.

Nowo poznana spojrzała na mnie z ukosa, zamrugła pięć razy, zanim uśmiechnęła się zakłopotana. Wyglądała, jakby zastanawiała się, czy czasem nie przywiódło mnie tutaj UFO.

– W Bloomfield mieszkają w większości starsi ludzie, więc nikt nigdy nie dbał o takie sprawy jak internet, co prawda praktycznie każda rodzina mająca nastoletnie dzieci posiada wi-fi, ale i tak bardzo słabe, więc praktycznie nikt z niego nie korzysta. Nie chcę cię zrażać, ale... Nasze miasteczko to trochę taka... dziura. – Zaśmiała się niezręcznie.

– Jak to? Myślałam, że po tylu latach ktoś coś z tym zrobił. – Nie potrafiłam w to uwierzyć i potrząsnęłam głową oniemiała.

Od przeprowadzki do Londynu, chcąc nie chcąc, kontakt ze światem poprzez media społecznościowe był ważną częścią mojego życia, a teraz nagle miałam zrobić sobie od niego dłuższą przerwę? Brzmiało abstrakcyjnie, ale chyba byłam w stanie to zrobić. Może takie odcięcie się od idealnie wykreowanego świata, który widywałam do tej pory codziennie, wyjdzie mi na dobre.

– Och, czyli jesteś stąd? – Wesołe ogniki błysnęły w zielonych oczach. – Jak masz na imię?

– Jestem... – przerwałam, gdy mój telefon zaczął wydawać z siebie melodyjkę, której nie słyszałam od prawie roku, bo nikt oprócz babci do mnie nie dzwonił. – Przepraszam.

Uśmiechnęłam się do niej speszona i odeszłam na bok, odebrałam i zmarszczyłam brwi na dźwięk jakichś szmerów.

– Babciu?

– Cukiereczku! Za ile będziesz? – zapytała wesołym głosem, coś spadło, a kobieta siarczyście przeklęła pod nosem. – Wybacz, kochanie. To wszystko przez te cholerne okulary, nie wiem, gdzie je zapodziałam.

Ogarnęło mnie nagłe zdezorientowanie, sprawiło, że zapomniałam języka w buzi i przez chwilę jedyne, co robiłam, to otwierałam i zamykałam usta. Nie spodziewałam się, że moja babcia, której nie odwiedzałam przez tak długi czas, będzie cieszyć się na mój przyjazd.

Ostatni raz widziałyśmy się dziesięć lat temu, na moich czternastych urodzinach, kiedy to pokłóciła się z moim tatą, a ten zabronił jej więcej przyjeżdżać. Od tamtego czasu dzwoniłyśmy do siebie jedynie w święta.

– Zaria? – spytała ze zdziwieniem. – Jesteś tam, cukiereczku?

– Tak, babciu – odpowiedziałam, przecierając dłonią zmęczoną twarz. – Będę maksymalnie za godzinę.

– No dobrze, uważaj na siebie! – powiedziała wesoło, a zaraz później usłyszałam długi dźwięk, sygnalizujący przerwane połączenie.

Wsunęłam telefon do kieszeni spodni i automatycznie ruszyłam do drzwi. Dopiero gdy pociągnęłam za klamkę, przypomniałam sobie o dziewczynie. Odwróciłam głowę w stronę lady, gdzie stała, zanim zadzwonił telefon, ale teraz już jej nie było. Zdziwiona rozejrzałam się po kwaciarni i gdy w końcu nigdzie jej nie zauważyłam, wyszłam ze sklepu, zaciągając się tym charakterystycznym zapachem powietrza po deszczu. Ta specyficzna woń przywodziła na myśl dzieciństwo, które tutaj spędziłam. Pozwalała mi myśleć i mieć nadzieję, choć ulotną, że wszystkie dręczące mnie demony rozplyną się tutaj jak mgła.



Już w progu powitał mnie cudowny zapach, który tak bardzo kojarzył mi się z babcią. Nie była to dusząca woń gipsu oraz skrobi ani ciężkich perfum, jakich używała druga babcia, tylko przyjemny i słodki zapach jabłek z cynamonem. Zrzuciłam z siebie przemoczone buty i bluzę, a torbę odstawiłam na drewnianej komodzie. Przejrzałam się jeszcze w lustrze, zanim ruszyłam do kuchni i przygłodziłam spuszone włosy. Mimo cichych kroków stare deski skrzypiały przy każdym ruchu, więc zanim zdążyłam dotrzeć do pomieszczenia, z którego wylewały się te wszystkie cudowne zapachy, zostałam przyciągnięta do mocnego uścisku. Dawno nikt nie przytulał mnie aż tak mocno, w sumie to w ogóle nikt nie przytulał mnie w ostatnim czasie.

– Cześć, babciu – wyszeptalam słabym i zestresowanym głosem.

Niepotrzebnie bałam się jej reakcji, bo jak zawsze przywitała mnie z szeroko otwartymi ramionami i moim ulubionym rabarbarowym ciastem. Jej uśmiech sprawił, że coś ciężkiego spadło mi z serca, dając niewyobrażalną ulgę.

*Przynajmniej na jakiś czas.*

Starsza kobieta odebrała ode mnie kwiaty, które jej podałam, i zaczęła rozglądać się za wazonem.

– Siadaj, kochanie, zaraz naleję ci zupy, mam nadzieję, że nadal lubisz krem z dyni. – Spojrzała na mnie wyczekująco, więc wysiliłam się na lekki uśmiech i skinięcie głową. – Strasznie schudłaś, dobrze, że przyjechałaś. Ja się tobą zajmę. Będziemy sobie sadziły warzywa w ogródku, chodziły na targ i do sadu Marlee. Ona też cieszy się, że przyjechałaś. Odwiedzimy ją, jak już się trochę zaaklimatyzujesz, chyba że nie będziesz chciała.

Uśmiechnęłam się krzywo i spuściłam wzrok na swoje palce, które ze stresu zaczęłam wyginać w różne strony. Nie byłam w stanie wydusić z siebie ani słowa, wspomnienia przytłaczały mnie z ogromną siłą. Przed oczami przeskakiwało mi całe

dzieciństwo, bardzo szczęśliwe dzieciństwo, jeśli pominię się dzieciaki, które bez powodu uwzięły się na mnie w podstawówce. Spacerzy z babcią i dziadkiem, te piękne widoki, bajki, które mi opowiadała, czas spędzany w sadzie jej przyjaciółki, opowieści, jakie snuł pan Robinson, po których nie potrafiłam zasnąć, i w końcu dziewczynka, która wspinała się ze mną po drzewach, gdy inni uważali to za głupie. To wszystko zrobiło ze mnie wesołą dziewczynę kochającą kontakt z ludźmi, dziewczynę, która twierdziła, że jednym uśmiechem jest w stanie zmieniać świat.

*A teraz?*

*Teraz byłam po prostu... zepsuta.*

Babcia podsunęła mi talerz pod nos, a ja podziękowałam jej skinieniem głowy. Drżącą dłonią sięgnęłam po łyżkę i z cichym westchnieniem wsunęłam ją sobie do ust.

– Kierowca zabrał moją walizkę, zamyśliłam się i nie zdążyłam jej wyciągnąć – wyszeptalam cicho po jakimś czasie, gdy odsuwałam od siebie na wpół zjedzoną zupę. Przez zacisnięte gardło nie byłam w stanie wmusić w siebie więcej. Miałam wrażenie, jakbym była tylko o krok od wybuchnięcia histerycznym płaczem.

Przy rodzicach było jakoś łatwiej udawać, że sobie radzę. Przy babci nie potrafiłam.

– Och, kochanie, nie smuć się. – Machnęła lekko dłonią i wróciła do ścierania stołu. – Zadzwońię do Berniego wieczorem i odzyskamy twoją walizkę. A do tego czasu możesz skorzystać z ubrań, które zostawiła tutaj kiedyś twoja matka, na pewno będą na ciebie pasowały.

– Oczywiście, tylko ja... – uciełam, wbijając wzrok w barwny obrus leżący na stole. – Nie noszę jeszcze kolorowych rzeczy, nie... Nie czuję się w nich komfortowo.

W kuchni zapanowała cisza. Babcia usiadła obok mnie i złapała za moją dłoń. Spojrzałam w jej jasne oczy, a ona obdarowała mnie kojącym uśmiechem.

– Minęło już tyle czasu, skarbie. Jestem pewna, że żadne z nich nie chciałoby widzieć cię teraz w takim stanie. Oni chcą, żebyś była szczęśliwa, cukiereczku. – Przybrała zatroskany wyraz twarzy i objęła mnie ramionami, mocno przytulając.

– Ja... Tak bardzo za nimi tęsknię – wydusiłam przez zaciśnięte gardło i zamrugałam kilka razy, odpędzając łzy.

– Wiem, kochanie, ale nie możesz ciągle żyć przeszłością, nawet jeśli teraz wydaje ci się to niemożliwe. Nie sądzisz, że to już czas?

– Czas na co, babciu? – zapytałam zdezorientowana, wierzchem dłoni ścierając łzy.

– Czas na rozpoczęcie nowego rozdziału. Nie mówię, że masz o nich zapomnieć, ale w żałobie w końcu przychodzi etap akceptacji... – westchnęła cicho, kołysząc nami na boki. – Wiesz, gdy zmarł twój dziadek... Mój świat się zawalił. To była prawdziwa miłość, taka, którą spotyka się tylko raz w życiu. Nie wiedziałam, jak sobie poradzę, nie wyobrażałam sobie dalszego życia bez niego. Świat przez dłuższy czas nie miał dla mnie kolorów, myślałam tylko o nim i o niczym więcej, ale wiesz co?

– Co? – Pociągnęłam nosem i kolejny raz przetarłam policzki.

– Którego dnia, gdy się obudziłam, coś się zmieniło. Obudziłam się z takim wrażeniem, jakby ktoś zdjął ogromny ciężar z mojego serca. Tamtej nocy przyśnił mi się twój dziadek, siedzieliśmy na takiej pięknej łące, a on narzekał, że za bardzo się mażę. Kazał mi przestać i... Wiem, że coś do mnie mówił, ale nie pamiętałam co. Nieważne, po prostu po tym śnie coś zrozumiałam. Zrozumiałam, że to musi go boleć, gdziekolwiek jest, to też cierpi i nie może odejść w spokoju do swojego osobistego rajku, jak zawsze mówił. Wiedziłam, że on by tego chciał. Chciałby, żebym nadal żyła, bo mam dla kogo.

– Nadal nie mogę uwierzyć, że ich nie ma, babciu. Nigdy więcej ich nie zobaczę, nigdzie razem już nie wyjedziemy, nie

dostanę zaproszenia na ten cholerny ślub Melody i Ariena, nie zobaczę już nigdy Stel... – Głośny szloch wyrwał mi się z gardła, a ona przycisnęła mnie do siebie mocniej i pocałowała delikatnie w czoło.

Coś bolesnego i rozrywającego ścisnęło mnie w płucach, zakryłam twarz dłońmi, a ramiona, które babcia mocno obejmowała, zatrzęsły się od płaczu. Już dawno nie wspominałam o moich przyjaciółkach na głos, nie płakałam, bo czułam się pusta. Ale teraz, mówiąc o tym wszystkim, poczułam niewielką ulgę. W końcu znalazł się ktoś bliski, z kim mogłam porozmawiać, przytulić się i wypłakać.

Powinłam była przyjechać tutaj już na samym początku.

– W Switz City mieszka Eleanor, jest naprawdę dobrą psycholożką. Może chciałabyś, żebyś cię do niej umówiła? – spytała z wahaniem.

Pokręciłam jedynie głową. Nie chciałam z nikim rozmawiać, od wypadku miałam kilku psychologów i żaden nie umiał mi pomóc. Albo trafiałam na samych niewykwalifikowanych ludzi, albo mi już nie dało się pomóc. Każdy tylko kazał mi zacząć w końcu wychodzić do ludzi i mniej uważać się nad sobą, bo na starość będę zgorzkniałą starą panną.

– No dobrze, ale powiedz, jeśli zmienisz kiedyś zdanie. Pamiętaj, że ja zawsze będę obok. Jeżeli potrzebujesz jeszcze czasu, to dobrze, nie będę naciskać. – Pocałowała mnie w policzki i pogłaskała po włosach. – Zjesz jeszcze trochę?

Nadzieja w jej głosie sprawiła, że nie potrafiłam odmówić, więc kiwnęłam głową. Zanim ponownie zabrałam się do jedzenia, przyjęłam od babci chusteczkę i wysmarkałam nos.

Czułam się trochę lepiej po tej rozmowie. Trochę jakbym miała nadzieję na lepsze jutro, ale wiedziałam, że to uczucie jest złudne, koszmary miały przypomnieć mi, że nie ruszyłam nawet o krok od miejsca, w którym się znalazłam. Może nawet cofnęłam się o trzy do tyłu?





Podniosłam się gwałtownie i zrzuciłam z siebie kołdrę jak poparzona. Zdezorientowana, rozejrzałam się po słabo oświetlonym pokoju. W pierwszych kilku sekundach nie wiedziałam, gdzie jestem. Krew szumiała mi w uszach, a serce biło jak oszalałe. Spuściłam wzrok na drżące dłonie, które zaraz zacisnęłam na prześcieradle. Odliczyłam od dziesięciu do zera, ale tym razem oddech się nie wyrównał. Poczulałam, jakby niewidzialna dłoń zacisnęła się na moim gardle.

*To wszystko twoja wina* – podpowiadał umysł, gdy wplątywałam palce we włosy.

– To tylko sen, to tylko sen – szeptałam do siebie spanikowana. Kołysałam się do przodu i do tyłu. Z trudem łapałam oddech.

*Zabiłaś ich* – sztychł ze mnie, a ja błagałam, żeby przestał. Cicho łkałam, kuląc się w łóżku. Nie chciałam patrzeć przed siebie, nie kiedy cztery ściany coraz bardziej się zbliżały, żeby w końcu złapać mnie w swoje sidła.

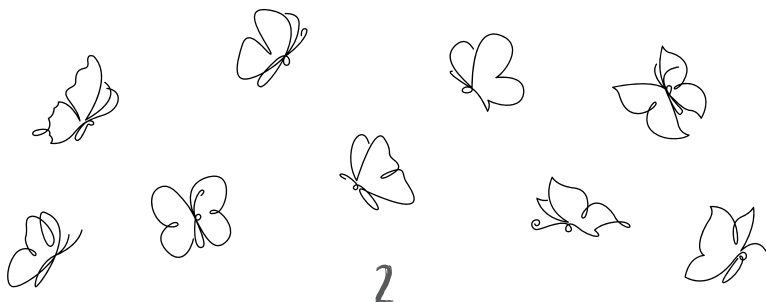
*Ty także powinnaś zginąć, wiesz to.* – Miałam ochotę wrzeszczeć. Kazać mu się zamknąć, ale wiedziałam, że to ja, że nikogo tutaj nie ma. To ja sama.

Nie wiem, ile czasu przesiedziałam w takiej pozycji, ale gdy w końcu wyprostowałam plecy, kości zaczęły nieprzyjemnie strzykać. Byłam cała spocona i zmęczona, mięśnie paliły żywym ogniem, a palce skostniały od zaciskania ich w pięści.

Wstałam z łóżka i podeszłam na palcach do okna. Usiadłam na szerokim parapecie i przyciągnęłam kolana pod brodę. Obserwowałam okolicę pogrążoną we śnie i rozgwieżdżone niebo, mrugające do mnie złotymi punkcikami. Oparłam głowę o zimną szybę i zmarszczyłam brwi, gdy spokojne niebo przecięła błyszcząca smuga. Dopiero po chwili zrozumiałam, co to było.

*Spadająca gwiazda.*

Niewiele myśląc, zamknęłam oczy i pomyślałam życzenie. Chociaż nie miałam wielkiej nadziei, to jednak po cichu liczyłam, że się spełni.



2

## WYPOWIEDZ ŻYCZENIE I ZOBACZ, JAK ZMIENIA ŚWIAT

Kilka dni po moim przyjeździe pierwszy raz wyszłam z domu, choć jeśli zależałoby to ode mnie, nigdy bym się na to nie zdobyła. Jednak nie miałam wyjścia. Babcia przez ostatnie dni naciskała, żebym poszła z nią na zakupy spożywcze.

W mojej babci było coś takiego, że ostatecznie zgadzałam się na wszystko, o co tylko mnie poprosiła. Zawsze byliśmy blisko, czasami miałam wrażenie, że to jedyna osoba w tej rodzinie, która naprawdę mnie rozumiała i zawsze dobrze mi doradzała. Dlatego w pierwszej klasie liceum kupiłam bilet na najszybszy lot do Indianapolis i przyjechałam do babci, aby wypłakać w jej ramię wszystkie swoje żale.

– Co chcesz dzisiaj na obiad, cukiereczku? – Odwróciła głowę w moją stronę, przerywając oglądanie warzyw.

– Zrób to, co chcesz, ja się dostosuję – mruknęłam. – Pójdę rozejrzeć się do sklepu budowlanego za czymś, co przyda mi się do remontu. Spotkamy się przy starej fontannie za pół godziny?

Babcia wyprostowała się i jak gdyby nigdy nic zaczęła szperać w torebce. Chciałam zapytać, co robi, ale uprzedziła mnie, wciskając mi do ręki pieniądze.

– Masz, idź na lody albo kup sobie coś słodkiego. – Uśmiechnęła się i wróciła do oglądania warzyw, zanim zdążyłam

uzmysłowić jej, że mam swoje pieniądze i nie musi mi wciskać drobniaków.

Przeszłam przez ulicę i powolnym krokiem ruszyłam wzdłuż kolorowych sklepów, w których zdecydowanie nie brakowało klientów. Kawiarnia, obok której właśnie przechodziłam, a raczej zapach unoszący się przez otwarte drzwi sprawił, że zatrzymałam się na moment. Zerknęłam na zmięte w dłoni pieniądze i pod wpływem impulsu weszłam do lokalu.

Podobało mi się tu, wszystko ładnie do siebie pasowało. Jasne ściany kontrastowały z ciemnym drewnem, a plakaty z *Przyjaciół* nadawały wnętrzu specyficznego ciepła. Jedzenie też musiało być dobre, bo wszystkie stoliki zostały zajęte.

Kupiłam dwie duże czekoladowe muffinki na wynos, żeby po powrocie do domu zjeść je razem z babcią przy popołudniowej kawie.

Sklep budowlany, do którego po chwili weszłam, zdecydowanie różnił się od kawiarni. Było tutaj cicho i wyjątkowo przyjemnie. Nie zauważyłam nikogo przy kasie, więc zaczęłam wędrować między alejkami. Wybrałam zestaw pędzli, wałki w różnych rozmiarach i kuwetę. Co prawda nigdy wcześniej nie malowałam ścian, ale jeszcze w domu robiłam research, co na pewno mi się przyda.

– Hej, nowa, potrzebujesz pomocy? – Głos po mojej lewej sprawił, że się wzdrygnęłam, a taśma, którą oglądałam, upadła na podłogę z cichym łoskotem.

Gdy spojrzałam w tamtą stronę, dostrzegłam chłopaka, który na moje oko miał nie więcej niż dziewiętnaście lat. Uśmiechał się do mnie szeroko, uwydatniając dołeczek w prawym policzku, a jego brązowe oczy świeciły przyjaznym blaskiem. Był idealną definicją chłopaka z sąsiedztwa, w którym kochało się całe miasteczko.

– Wybacz, nie chciałem cię przestraszyć. – Przechylił się do przodu i lekko zmrużył oczy, żeby zaraz później mrugnąć do mnie jak gdyby nigdy nic. – Jesteś jeszcze ładniejsza, niż mówili.

– Och – mruknęłam, a na moje zapadnięte policzki wypłynął rumieniec. Spodziewałam się chyba wszystkiego, ale nie tego, że ktoś nazwie mnie ładną. – Dziękuję? Chyba?

– James! – Głęboki męski głos rozległ się gdzieś z drugiej części sklepu. Oboje usłyszeliśmy ciężkie kroki, a chłopak przeklął siarczyście pod nosem i przeczesał burzę loków w kolorze ciemnego blondu. – Znowu zaczepiasz klientki? Dałbyś już sobie spokój.

Spojrzałam przez ramię i na moment wstrzymałam powietrze, gdy zauważyłam tym razem starszego mężczyznę z kilkudniowym zarostem i najpiękniejszymi zielonymi oczami, jakie w życiu widziałam. On także mi się przyglądał, a żadne z nas się nie odezwało, aż w końcu w ciszy wyminęłam chłopaka z sąsiedztwa i bez słowa ruszyłam w stronę kasy z nadzieją, że obsłuży mnie ktoś inny.

Jednak gdy chwilę później znów usłyszałam ciężkie kroki, zrozumiałam, że moje nadzieje zostały brutalnie zdeptane. Ponownie spojrzałam w te zjawiskowe oczy i odchrząknęłam cicho.

– Przepraszam za mojego pracownika, był bardzo nachalny? – spytał, gdy kasował moje zakupy.

– Wszystko w porządku – zapewniłam, nerwowo pakując pędzle do płóciennej torby.

– Na pewno? Zbladłaś. – Przeskanował uważnym spojrzeniem moją twarz, a ja miałam wrażenie, że robię się jeszcze bledsza.

– Tak, wszystko w porządku – powtórzyłam i spojrzałam na niego wyczekująco.

Po zapłaceniu za zakupy wyszłam na zewnątrz i gdy tylko drzwi za mną się zatrzasnęły, wzięłam głęboki wdech i wytarłam spoczną dłoń w kolorową sukienkę, która kiedyś należała do mojej mamy. Szafa nadal była pełna jej odzieży. Moja walizka, co prawda dotarła, ale było w niej wszystko oprócz moich ciemnych ubrań. Przepadły i nikt nie wiedział gdzie się

podziały, więc zostałam skazana na kolorową garderobę mojej mamy z jej nastoletnich lat. W Bloomfield nie było ani jednego sklepu z odzieżą, a moja matka jak na złość ignorowała moje telefony i wiadomości. Potrząsnęłam głową wyrrywając się z tego lekkiego zawieszenia i ruszyłam w kierunku starej fontanny, przy której bawiły się dzieci. Usiadłam na ławce obok jakiejś dziewczynki i westchnęłam ciężko.

Zerknęłam w jej stronę i zmarszczyłam brwi, gdy zauważyłam jej pobrudzoną fioletową sukienkę, potargane blond włosy i łyzy na policzkach, które cały czas przecierała. Chyba ze trzy razy otwierałam i zamykałam usta, zanim się do niej odezwałam.

– Ktoś ci coś zrobił? – spytałam niepewnie, a ona w odpowiedzi odsunęła się ode mnie, aż natrafiła na koniec ławki. – Hej, nie chciałam cię wystraszyć, chciałam tylko pomóc.

Uniosłam dłonie, a ona obróciła głowę w moją stronę. Teraz zauważyłam, że ma zaczerwienione oczy i zadrapanie na policzku.

Wyczułam, że nie była skora do rozmowy, więc bez zastanowienia wyciągnęłam z torby pudełko z muffinkami.

– Lubisz czekoladę? – Wystawiłam pudełko w jej stronę, ale ona pokręciła głową i otarła kolejne łyzy.

– Tatuś zabrania mi blania jedzenia od obcych – wyjaśniła cichym głosem, więc zamknęłam pudełko i ponownie wsunęłam je do torby. – I nie mogę też z nimi rozmawiać.

– Czy czasem właśnie nie złamałaś tej zasady? – spytałam podejrzliwie, a kąciki jej zadrżały.

– To nie mów do mnie.

– Zawrzemy umowę, okej? – zapytałam, odgarniając włosy z twarzy. – Powiesz mi, co się stało, a ja zostawię cię w spokoju i przestanę częstować czekoladowymi muffinkami.

Zaśmiała się cicho, ale zaraz spoważniała i westchnęła smutno. Ten odgłos w ogóle nie pasował mi do dziecka, które nie miało więcej niż pięć lat.

– Dzieci mnie nie lubią – wymamrotała cicho i spuściła wzrok na swoje różowe trampki.

– Dlaczego?

– Dzisiaj psysła dziewczynka, która baldzo mnie nie lubi i zablala mi lizaka, a później zuciła we mnie kamykiem – wyjaśniła, ignorując moje pytania. – Dlatego mam to.

Pacnęła się palcem w policzek, na którym miała rozcięcie.

– Czemu inne dzieciaki nie zareagowały?

– Bo są głupie, tak mówił tatuś.

– A gdzie on teraz jest?

– Psestań pytać. – Przewróciła oczami, jakby była tym już znudzona, co mnie rozbawiło. – A ty? Dlaczego jesteś smutna? Ktoś spławił ci psykłość?

– Nie, taka już po prostu jestem. – Wzruszyłam ramionami, a ona spojrzała na mnie z tą dziecięcą ciekawością.

– Smutna?

– Mhm. – Kiwnęłam głową.

– Ciebie też dzieci nie lubią?

– Ty mnie lubisz – zauważyłam, pochylając się w bok. Zerwałam dwa dmuchawce i zaczęłam obracać je w dłoniach.

– Kto tak powiedział?

– Wiem to, masz. – Podałam jej dmuchawiec, a ona spojrzała na niego zdziwiona.

– Co mam z tym złościć?

– Zdmuchnąć, ale najpierw wypowiedz życzenie. – Uśmiechnęłam się delikatnie i zdmuchnęłam małe, białe latawce, które pofrunęły razem z wiatrem.

– Spełni się? – spytała z nadzieją, która biła z jej zielonych oczu.

– Taką mam nadzieję, tylko nie mów nikomu, żebyś miała pewność, że na pewno się spełni.

– Okej – powiedziała wesoło i zeskoczyła z ławki. – Muszę iść, pani Tilly pewnie suka mnie po całym domu.

– Uciekłaś z domu? – Otworzyłam szerzej oczy, a ona zachichotała.

– Tak, ale nikomu nie mów.

– Wiesz, że nie możesz chodzić bez opiekuna? To niebezpieczne.

– Jimmy pilnuje mnie psez sybę, jestem bezpieczna. – Zatrzymała się i posłała mi szeroki uśmiech, który mógł rozjaśnić każdy pochmurny dzień. – Mam nadzieję, że jesce się zobaczymy, jesteś fajna. Powiem o tobie tatusiowi i namówię go, zeby zaplosił cię na landkę.

Wyszczrzyła się słodko, a zaraz później obróciła na pięcie i pobiegła w tylko sobie znanym kierunku, zostawiając mnie kompletnie osłupiałą.



– A ty, kochanie? Lubisz piec? – Marlee, przyjaciółka mojej babci, uśmiechnęła się życzliwie.

Odezwała się do mnie po raz pierwszy, odkąd razem z babcią zawitałyśmy na jej farmę. Pamiętałam to miejsce z dzieciństwa, latem zbierałyśmy truskawki, maliny i wiśnie, a jesienią jabłka i gruszki.

– Już dawno tego nie robiłam – przyznałam, przerywając na moment pracę.

– Zaria jest do tego stworzona, wszyscy zawsze kochali jej wypieki – wtrąciła babcia, a ja uśmiechnęłam się zawstydzona. Jak zwykle wszystko wyolbrzymiała.

– No to w takim razie musisz coś dla nas upiec, kochanie. Na pewno będzie przepyszne.

– Tylko że ja... – zaczęłam, ale przerwał mi melodyjny głos gdzieś za mną.

– Dzień dobry! Przyniosłam świeże kwiaty i chętnie pomogę w pracy. – Kobieta z kwaciarni podeszła do nas z bukietem frezji i szerokim uśmiechem rozciągającym się na



ustach. Miała na sobie zieloną sukienkę na ramiączkach, która podkreślała jej długie rude włosy, i znoszone białe conversy.

– Mallory, jak dobrze, że jesteś! – zaświergotała Marlee. Wstałam na równe nogi, mrużąc oczy. Wiedziałam, że skądś znam to imię. – Pamiętasz jeszcze Zarię? W dzieciństwie trudno było was rozdzielić.

Starsze kobiety się zaśmiały. Dziewczyna była w nie mniejszym szoku, co ja. Obie stałyśmy kilka metrów od siebie z szeroko otwartymi oczami i rozchyłonymi ustami. Nie potrafiłam uwierzyć, że to naprawdę ona, byłam przekonana, że stąd wyjechała. Tak jak zawsze marzyła.

– Aria... – Upuściła kwiaty na trawę, podbiegła do mnie i mocno przytuliła.

– Mally – westchnęłam cicho i odwzajemniłam uścisk. – Byłam pewna, że po zakończeniu szkoły wyjedziesz z Bloomfield.

– Wyjechałam, ale po śmierci dziadków wróciłam, żeby zająć się ich kwiaciarnią.

– Przykro mi – szepnęłam, odsuwając się od niej o krok.

– Tam, gdzie teraz są, na pewno czują się lepiej. Oboje bardzo chorowali. – Wzruszyła ramionami z lekkim uśmiechem, jednak jej spojrzenie na kilka sekund stało się mniej obecne. – A ty? Wróciłaś na stałe?

– Nie, przyjechałam tylko na jakiś czas, żeby pomóc babci z remontem. Później wracam do Londynu.

– Rozumiem. Ułożyłaś sobie tam życie, to dobrze. Ktoś na ciebie czeka? Chłopak, mąż, dziewczyna?

– W zasa...

– Czas na ploteczki przyjdzie później, weźcie się do pracy, zanim zastanie nas noc – powiedziała Marlee z rozbawieniem, przeskakując po nas wzrokiem.

– Dobrze. – Mallory zachichotała i wyminęła mnie, żeby kucnąć przy jednym z krzaczków i zacząć zrywać truskawki.

Dołączyłam do niej prawie natychmiast, ale nasza praca od jej przyjscia nie szła już aż tak bardzo do przodu. Miałyśmy zbyt dużo do nadrobienia, a nasze buzie nie zamykały się aż do końca zbiorów.